

Państwo prawa jeszcze w budowie

Andrzej Zoll
w rozmowie z Krzysztofem Sobczakiem

Państwo prawa jeszcze w budowie

Andrzej Zoll
w rozmowie z Krzysztofem Sobczakiem



LEX

a Wolters Kluwer business

Warszawa 2013

Wydawca:
Monika Pawłowska

Redaktor prowadzący:
Adam Choiński

Opracowanie redakcyjne:
Firma Teksty

Łamanie:
JustLuk Łukasz Drzewiecki, Justyna Szumień, Krystyna Szych

Projekt okładki:
Konrad K. Pollesch

Ta książka jest wspólnym dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, byś przestrzegał przysługujących im praw. Książkę możesz udostępnić osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A jeśli musisz skopiować część, rób to jedynie na użytek osobisty.

The logo for 'prawolubni' features the word in a lowercase, serif font. A small red heart is positioned above the letter 'i'. Below the text is a decorative horizontal line with a wavy, scalloped pattern.

SZANUJMY PRAWO I WŁASNOŚĆ
Więcej na www.legalnakultura.pl
POLSKA IZBA KSIĄŻKI

© Copyright by
Wolters Kluwer Polska SA, 2013

ISBN 978-83-264-4356-5

Wydane przez:
Wolters Kluwer Polska SA

Redakcja Książek
01-231 Warszawa, ul. Płocka 5a
tel. 22 535 82 00, fax 22 535 81 35
e-mail: ksiazki@wolterskluwer.pl

www.wolterskluwer.pl
księgarnia internetowa www.profinfo.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp	7
1. Najpierw było sprzątanie po PRL	11
2. Dobre prawo wyborcze podstawą demokracji	48
3. Sądy budują demokratyczne państwo prawne	77
4. Trybunał wzmacnia praworządność	107
5. Mocny rzecznik służy państwu prawa	143
6. Polityka karna. Więcej prawa czy polityki?	164
7. Wolność i odpowiedzialność, czyli spór o artykuł 212 ...	202
8. Lustracja. Lepiej było nie otwierać tych archiwów	225
9. Ochrona życia wymaga doprecyzowania	251
10. Klauzula sumienia powinna być normą konstytucyjną ...	269
11. Religia w szkole. Nauka czy katecheza?	289
12. Trybunał Stanu potrzebny, ale inny	299

13. Dobre prawo w populistycznej demokracji	306
14. Nieszczęsny dar wolności	332
Wykaz ważniejszych skrótów	343

WSTĘP

Niewielu jest w Polsce prawników, którzy mogliby się pochwalić tak dużym jak profesor Andrzej Zoll wpływem na kształt obowiązującego w naszym państwie prawa i zasad demokracji.

Gdy ponad 30 lat temu w 1980 roku powstało Centrum Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności”, był jednym z liderów zespołu pracującego nad projektem reformy prawa karnego. Efekty tej pracy, podobnie jak innych zespołów działających w ramach Centrum, zniweczył stan wojenny. Ale same projekty nie przepadły. Jak wspomina profesor Zoll, pracowano nad nimi nadal w Katedrze Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, więc gdy reformy stały się możliwe, było co wyjmować z szuflad.

Pierwszą do tego okazją były obrady Okrągłego Stołu, gdzie Andrzej Zoll pracował przy tzw. podstoliku prawnym. Udało się tam wywalczyć istotne zmiany wzmacniające ustrojową pozycję i niezależność sądów, natomiast nic nie wyszło z zabiegów o zmiany w prawie karnym. Dobrze Profesor wspomina z tamtego czasu wspólne z pewnym bardzo później popularnym politykiem zabiegi o usunięcie z kodeksu karnego chuligańskiego charakteru czynu. – Ponieważ to kategoria niejasna i nieprecyzyjna, a do tego z jak najgorszym, bo stalinowskim pochodze-

niem – mówi. I bardzo irytuje się na wspomnienie, że gdy ten sam polityk został premierem, natychmiast chuligański charakter czynu do kodeksu przywrócił.

Przywrócił, bo już go tam przez kilka lat nie było, a to za sprawą obowiązującego od 1998 roku nowego kodeksu karnego przygotowanego przez komisję kodyfikacyjną, której wiceprzewodniczącym był profesor Andrzej Zoll. Krytykom, uważającym tę regulację za zbyt łagodną, profesor Zoll odpowiada: A jak to możliwe, że pod rządami surowego kodeksu z 1969 roku przestępczość w pierwszej połowie lat 90. ubiegłego wieku bardzo wzrosła, natomiast po wejściu tego „łagodnego” nowego kodeksu zaczęła spadać?

Jako wybitny i powszechnie poważany karnista uczestniczył profesor Zoll we wszystkich po 1989 roku pracach legislacyjnych dotyczących prawa karnego. Angażował się również w związane z tym dyskusje i spory. I zawsze był konsekwentny w przekonywaniu, że ciągłe podnoszenie kar wcale nie prowadzi do ograniczania skali przestępczości. Uważa, że wręcz przeciwnie, wciąż za dużo ludzi przebywa w więzieniach, a za rzadko stosuje się w Polsce kary nieizolacyjne. Tymczasem są one – podkreśla profesor Zoll – nie tylko znacznie tańsze, to jeszcze bardziej skuteczne. Andrzej Zoll przekonuje o tym i udowadnia od lat, ale jak przyznaje, nie ma w tej dziedzinie poczucia sukcesu. W polskim społeczeństwie wciąż dominują nastroje represyjne, a politycy niezmiennie chętnie wykorzystują prawo karne w swoich grach o względy wyborców. – Bo o reformach ekonomicznych czy skomplikowanych zagadnieniach prawa cywilnego trudno mówić na wiecach czy w telewizji, ale propozycją podniesienia kar za napaść na policjanta czy kastracją pedofilów łatwo zainteresować publiczność – mówi. I dodaje, że na prawie karnym, jak na leczeniu grypy, każdy się zna, a politycy to już w tej dziedzinie nie mają żadnych oporów.

Szczególnie źle wspomina profesor Zoll z tego punktu widzenia lata 2005–2007, kiedy to kierowana przez wspomnianego

już polityka partia z surowej represji wobec sprawców przestępstw uczyniła podstawę swego programu politycznego. Nie tylko dlatego, że w tym czasie realizowano politykę karną zupełnie przeciwną do lansowanej od lat przez profesora Zolla. Jak twierdzi Profesor, ta surowa wobec przestępców polityka była tylko fasadą, za którą kryło się coś znacznie poważniejszego. – To zmierzało do ograniczenia praworządności, a w dalszej kolejności także demokracji w Polsce – stwierdza. I dodaje z optymizmem, że jednak mamy w Polsce dość silną demokrację, czego potwierdzeniem były wybory z 21 października 2007 roku, kiedy to większość Polaków głosowała za inną wizją państwa. Zdaniem profesora Zolla to w najnowszej historii Polski data niewiele mniej ważna niż wybory z 1989 roku.

Swoją służbę publiczną, wynikającą zarówno z własnych potrzeb, jak i z tradycji rodzinnych, realizował profesor Zoll także jako sędzia i przez wiele lat prezes Trybunału Konstytucyjnego, a potem jako rzecznik praw obywatelskich. Obie te funkcje wspomina jako okres, gdy mógł wpływać zarówno na kształt tworzonego w Polsce prawa, jak i na powstawanie dobrych standardów jego stosowania. Ale także jako okazję do różnorodnych działań na rzecz budowy demokratycznego państwa prawnego. W tym kontekście przywołuje także profesor Zoll swoją pracę w Państwowej Komisji Wyborczej, zarówno tej przygotowującej pierwsze, częściowo demokratyczne wybory w 1989 roku, jak i w kolejnych – przy wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Stworzenie dobrego prawa wyborczego oraz dobrego obyczaju i praktyki jego stosowania uważa za jeden z fundamentów demokracji. Dlatego ani chwili się nie wahał, czy udzielić poręczenia Stanisławowi Tymińskiemu (kto dziś pamięta to nazwisko?), gdy ten został aresztowany nazajutrz po przegranych wyborach prezydenckich w 1990 roku. – Bo co to miało być, przegrany kandydat jak w jakiejś republice bananowej trafia do więzienia? – pyta retorycznie. Zebrał za to sporo gromów od polityków z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, ale swojej decyzji nie żałuje –

bo jest przekonany, że tak właśnie buduje się standardy praworządności i demokracji.

Ma profesor Andrzej Zoll poczucie satysfakcji z uczestnictwa w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat w takich właśnie działaniach, chociaż nie uważa, by proces budowy w Polsce demokratycznego państwa prawnego był już zakończony. Jest jednak przekonany, że udało nam się w tej dziedzinie osiągnąć dużo, a Polska nigdy jeszcze nie była państwem tak demokratycznym i tak praworządnym jak obecnie.

Krzysztof Sobczak

1

NAJPIERW BYŁO SPRZĄTANIE PO PRL

We wrześniu 2012 roku został pan wyróżniony, wraz z grupą innych prawników, medalem za zasługi dla wymiaru sprawiedliwości – szczególnie za działania podejmowane, a w każdym razie rozpoczęte ponad 30 lat wcześniej. Przypomnijmy – była jesień 1980 roku.

Zacząło się to w listopadzie tamtego roku, zaraz po rejestracji związku zawodowego „Solidarność”. Grupa prawników związanych z tym ruchem wystąpiła z inicjatywą przygotowania od strony legislacyjnej reform, których oczekiwaliśmy wtedy w Polsce. Zakładaliśmy, że w wyniku tych zdarzeń, jakie następowały po sukcesie strajków sierpniowych, po zarejestrowaniu „Solidarności”, dojdzie do głębszych reform w państwie. Wychodzi-

liśmy z założenia, że te ewentualne reformy to nie tylko sprawy związane z ustrojem i gospodarką, ale konieczne też będą zmiany legislacyjne. I dlatego na przełomie 1980 i 1981 roku odbył się w Krakowie pierwszy zjazd zorganizowany przez środowisko prawników związanych z „Solidarnością” poświęcony przygotowaniu prac nad zmianami obowiązującego prawa.

Kto to spotkanie organizował, kogo zapraszał?

Odbywało się to dość spontanicznie, bo przecież nie było żadnej listy ani legitymacji poświadczających przynależność do tej grupy. Po prostu zwołaliśmy się. Ale warto tu podkreślić, że bardzo zaangażowany w organizację tego spotkania był Kazimierz Barczyk, sędzia sądu rejonowego w Krakowie. Odegrał on niezwykle pozytywną rolę zarówno w zorganizowaniu tego zjazdu, jak i w organizacji prac zapoczątkowanych na tym spotkaniu. Właściwie był animatorem tego wszystkiego i dlatego zjazd odbył się w Krakowie.

Od razu więc powiedzmy, że to osoba bardzo aktywna w życiu publicznym także po 1989 roku.

Był przez pewien czas posłem, sekretarzem stanu w kancelarii premiera Buzka, a ostatnio przewodniczącym sejmiku samorządowego województwa małopolskiego.

Zanim doszło do tej inicjatywy, wcześniej jeszcze był tzw. list stu.

Rzeczywiście, było takie wystąpienie, ale bardziej dotyczyło prawa karnego. Grupa prawników karnistów, do której ja też należałem, zwróciła się do ministra sprawiedliwości o zreformowanie przepisów obowiązującego wtedy kodeksu karnego z 1969 roku. A chodziło nam przede wszystkim o liberalizację tego kodeksu, gdyż naszym zdaniem był on nadmiernie restrykcyjny. Skutkiem takiego charakteru tej regulacji był ogromny tłok w polskich więzieniach. Polska należała do krajów o największym odsetku ludności w zakładach karnych. Tak zwany wskaźnik punitynośności systemu, czyli liczba osób pozbawionych

wolności na 100 tysięcy mieszkańców, przekraczał u nas 300, podczas gdy w demokratycznych krajach wysoko rozwiniętych był on już na poziomie poniżej 100. Zwróciliśmy się więc do ministra sprawiedliwości – był nim wtedy Jerzy Bafia – o powołanie zespołu, który zacząłby pracować nad zmianą tego systemu.

I jaka była reakcja?

Minister powołał komisję do spraw reformy prawa karnego. Na jej czele stanął nie bardzo sławnej pamięci profesor z Uniwersytetu Warszawskiego Igor Andrejew.

Czy dlatego niesławnej pamięci, że był szefem komisji, która przygotowała kodeks z 1969 roku?

Nie, dużo gorzej. To akurat można mu wybaczyć. Andrejew uczestniczył jako sędzieja specjalnego sądu w wydaniu wyroku śmierci na generała Fieldorfa „Nila” i nie tylko pod nim się podpisał, ale też sprzeciwił się wydaniu pozytywnej opinii w sprawie łaski. Tak więc Andrejew ma dość dużo na sumieniu. Ale niezależnie od tego był to wybitny prawnik. No i on właśnie stanął na czele komisji rządowej przygotowującej projekt kodeksu karnego, który miał uwzględniać także zgłoszone przez nas postulaty.

A jak na tę decyzję zareagowało środowisko prawników związanych z „Solidarnością”?

Nie bardzo mieliśmy zaufanie do tego, co zamierzał robić w tej dziedzinie rząd. Dlatego podczas wspomnianego zjazdu w Krakowie postanowiono powołać Centrum Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności”.

Rozumiem, że w odróżnieniu do komisji rządowej, która miała reformować tylko prawo karne, tutaj zamiar był znacznie szerszy – dotyczył całego prawa.

Od razu w ramach Centrum powstało szereg grup, które miały zajmować się poszczególnymi dziedzinami prawa. Powstała też rada programowa Centrum, na której czele sta-

nał nestor polskich prawników Stefan Grzybowski, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, bardzo wybitny cywilista, wtedy już mocno leciwy, ale w znakomitej jeszcze kondycji intelektualnej. Jego zastępcą został prof. Władysław Wolter, wybitny karnista i mój mistrz. Później kierował pracami przygotowującymi reformę prawa karnego. Powstało wiele zespołów i wszystkie przystąpiły do bardzo intensywnej pracy. Spotykaliśmy się praktycznie w każdą sobotę i niedzielę. Przyjeżdżało wtedy do Krakowa przynajmniej kilkadziesiąt osób, by pracować nad różnymi projektami. Powstało ich kilkanaście i zostały opublikowane.

Czy istniało założenie, by przygotować całą serię kodeksów lub innych kluczowych ustaw?

Uważaliśmy, że jeżeli będzie dochodziło do reformowania państwa, to projekty te będą pokazywały kierunek zmian i będą mogły być przedmiotem prac parlamentarnych.

Czy zakładaliście wtedy państwo, że w niektórych sprawach będzie to może prostsze, bo ewentualne zmiany były możliwe w ramach tamtego ustroju, natomiast do innych konieczna byłaby zmiana systemu?

Myślenie o tym, że może dojść do radykalnej zmiany systemu, było wtedy utopią. Raczej mówiło się o naprawie socjalizmu. Zdawaliśmy sobie sprawę z układu geopolitycznego, przecież Związek Radziecki trzymał się jeszcze mocno, do tego pamiętaliśmy całkiem przecież niedawne doświadczenie czechosłowackie. Dla ludzi, którzy nie bujali w obłokach, oznaczało to, że należy raczej mówić o poprawianiu istniejącego systemu, czynieniu go bardziej ludzkim. Myśleliśmy raczej o ewolucji niż rewolucji. Owszem, pracowaliśmy w ramach Centrum nad propozycjami zmian w prawie konstytucyjnym, ale dotyczyły to bardziej takich zagadnień, jak reforma sądownictwa, wzmocnienie niezawisłości sędziowskiej, gwarancji procesowych, usu-

nięcia pewnych przepisów, które pozwalały zwolnić sędziego ze stanowiska, bo nie dawał tzw. rękojmi orzekania zgodnie z linią partii. Chodziło więc bardziej o tego typu sprawy niż wywracanie ustroju PRL.

Ale w prawie karnym cele były bardziej ambitne?

W tej dziedzinie myśleliśmy o dość daleko idącej reformie. Przede wszystkim chodziło nam o to, by zmniejszyć liczbę ludzi przebywających w więzieniach. W zakładach karnych w tamtym czasie, podobnie jak w całym okresie PRL, przebywało wyjątkowo dużo skazanych i tymczasowo aresztowanych, nie było tam szansy na prowadzenie jakiegokolwiek resocjalizacji, do tego mieliśmy bardzo duże wskaźniki recydywy. To była beznadziejna polityka, która do niczego nie prowadziła. Zamykano ludzi i właściwie przekreślano ich dalsze życie, zwłaszcza gdy byli to młodzi ludzie. Wiadomo było, że taki dwudziestoletni chłopak, który trafił do więzienia, był już kandydatem na notorycznego przestępcę, i że on do tego więzienia będzie wracał przez całe życie. Chodziło więc o nadanie polityce karnej bardziej racjonalnego charakteru.

Ale nie chodziło chyba tylko o wprowadzenie ogólnych, ideowych zasad?

Oczywiście nie. Zmierzaaliśmy też do zmiany katalogu przestępstw, by zrezygnować z takich typów czynów zabronionych, które miały wyraźnie polityczny charakter i w których chodziło o obronę za pomocą środków karnych systemu politycznego.

Takich na przykład, jak słynne „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji”? Czyli czynów, za które w państwach demokratycznych się nie karze, ale też przepisów nieprecyzyjnych, a nawet „gumowych”.

Wprawdzie nie obowiązał już wtedy uchylony w 1969 roku „mały kodeks karny”, w którym takich przepisów było bardzo

dużo, kodeks karny zawierał jednak wiele innych przepisów o takim właśnie – jak pan to nazwał – „gumowym” charakterze. Chcieliśmy je poprawić albo wręcz usunąć z kodeksu. Chodziło też o poszerzenie możliwości stosowania tak zwanej probacji, czyli oddziaływania na osoby skazane, które pozostawały na wolności, by proces ich resocjalizacji był efektywny. W każdym razie w tych kierunkach szliśmy.

A jakie były do tego punkty odniesienia? Czy już wcześniej toczyła się w środowiskach prawniczych dyskusja na ten temat? Czy były brane pod uwagę jakieś wzory zagraniczne?

Byliśmy do takiej pracy całkiem dobrze przygotowani. Jeśli chodzi o prawo karne, to Polska była w trochę lepszej sytuacji niż inne kraje socjalistyczne. Po pierwsze dlatego, że do 1969 roku obowiązywał u nas kodeks karny Makarewicza z 1932 roku.

Uzupełniony zaraz po wojnie przez wspomniany już „mały kodeks karny”...

Do wprowadzenia nowego kodeksu w 1969 roku obowiązywała owa uzupełniająca regulacja i oczywiście nie tylko, gdyż kodeks karny został obudowany wieloma ustawami nadającymi prawu karnemu cechy prawa państwa totalitarnego. Ale jądro kodeksu było zdrowe. To pozwalało przy kształceniu młodych kadr prawniczych wykładać prawo karne, które miało dość uniwersalny charakter. Mogliśmy mówić o zasadach, które obowiązywały także w państwach zachodnich. Dzięki temu polscy karniści mieli stosunkowo łatwy kontakt z kolegami z zachodniej Europy – my mówiliśmy właściwie tym samym językiem. W latach 80. ubiegłego wieku, ale zaczęło się to już pod koniec lat 70., miały miejsce dość ożywione kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Dzięki temu możliwe były kontakty polskiej doktryny z doktryną zachodnioniemiecką, austriacką i innymi. W Krakowie przyjmowaliśmy wielu kolegów

z Zachodu. Nam było trudniej wyjeżdżać, ale mimo to wyjazdów było sporo. Na przykład Instytut Maxa Plancka we Fryburgu przyjmował nas na stypendia i większość moich kolegów z katedry, w tym ja także, miała możliwość jeszcze w okresie Polski Ludowej skorzystać z takich kontaktów. Całkiem niezły był też dostęp do światowej literatury. Dzięki temu nie byliśmy izolowani, znaliśmy dość dobrze dorobek zachodnich nauk prawnych i obserwowaliśmy toczące się tam dyskusje. Wiedzieliśmy więc, czego chcemy.

Ta praca dotyczyła tylko kodeksu karnego?

Nie tylko, pracowaliśmy w Centrum także nad propozycjami zmian w procedurze karnej. Chodziło między innymi o rozwiązania, które miały zwiększyć kontrolę sądową nad postępowaniami przygotowawczymi, ograniczyć stosowanie instytucji tymczasowego aresztowania, wprowadzić zasadę, że areszt tymczasowy może stosować tylko sąd.

W ramach Centrum Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności” pracowaliśmy m.in. nad rozwiązaniami, które miały prowadzić do liberalizacji prawa karnego, gdyż naszym zdaniem było ono nadmiernie restrykcyjne, a także do zwiększenia kontroli sądowej nad postępowaniami przygotowawczymi, ograniczenia stosowania instytucji tymczasowego aresztowania, wprowadzenia zasady, że areszt tymczasowy może stosować tylko sąd.

Przypomnijmy, że w tamtych czasach o tymczasowym aresztowaniu decydował prokurator.

Tak właśnie było i my uważaliśmy, że jest to jedna z pierwszych zmian, jakie trzeba wprowadzić. I generalnie nasze prace zmierzały do zwiększenia praworządności i poszerzenia gwarancji dla obywateli.

To miał być nowy kodeks czy nowelizacja tego z 1969 roku?

Formalnie był to projekt nowelizacji obowiązującego wtedy kodeksu. Prace nad nim zakończyliśmy w połowie 1981 roku i cały ten projekt został opublikowany.

Co to znaczy – opublikowany? Gdzie?

Ten projekt, podobnie zresztą jak inne projekty ustaw opracowanych w ramach Centrum Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności”, został wydany w formie broszury i dość szeroko był kolportowany. Nasza praca poszła w obieg, były na ten temat informacje i komentarze w prasie, także w czasopismach prawnych. Odbyło się też szereg konferencji – w Krakowie, Poznaniu i paru innych ośrodkach, na których projekt był prezentowany. A więc stał się znany i dostępny dla wszystkich zainteresowanych.

Trochę zapomnieliśmy, że w tym czasie pracowała także komisja rządowa...

Rzeczywiście pracowała. I co ciekawe, w tym samym mniej więcej czasie został opublikowany opracowany przez nią projekt.

Bardzo różnił się o tego, który przygotował wasz zespół?

Nie różnił się bardzo. Okazało się wręcz, że w wielu sprawach propozycje zmian szły w podobnym kierunku.

A czy doszło do rozmów autorów obu projektów?

Owszem. Zdarzyła się ciekawa rzecz, bo w listopadzie 1981 roku byłem w związku z jakąś obroną doktoratu czy też przy innej okazji na Uniwersytecie Warszawskim. Spotkałem prof. Andrejewa, który nawiązał ze mną rozmowę na temat naszego projektu i wręczył mi zaproszenie na posiedzenie zespołu rządowego, które miało się odbyć w ośrodku Ministerstwa Sprawiedliwości w Popowie w styczniu następnego roku. Zapraszał mnie jako reprezentanta zespołu „Solidarności”, bym przedstawił na tym posiedzeniu założenia naszego projektu. W tym zaproszeniu wyraźna była

intencja, że skoro w obu projektach jest wiele punktów zbieżnych, to może byłoby dobrze przygotować wspólny projekt.

Wyjaśnijmy może, dlaczego owo zaproszenie zostało skierowane właśnie do pana. Czy miało to związek z rolą, jaką odgrywał pan w solidarnościowym zespole ekspertów?

Jak już wspomniałem, pracą naszego zespołu kierował profesor Władysław Wolter, ale mnie zlecił rolę referenta naszych prac. Polegała ona na tym, że razem z prof. Wolterem pracowaliśmy nad redakcją tego projektu. Do nas trafiały wszystkie propozycje, a my spotykaliśmy się nawet po kilka razy w tygodniu, by na kolejne weekendowe spotkania przygotować materiał do dalszej pracy. Po prostu pisaliśmy razem projekt, był on później dyskutowany, wprowadzano różne zmiany, ale był to projekt, który właściwie wyszedł spod pióra Woltera i mojego. Było wiadomo, że jeśli ktoś chciał rozmawiać o tym projekcie, to najlepiej z jednym z nas. A przy tym nie była to praca prowadzona w izolacji. Spotykaliśmy się z różnymi ludźmi, odbywały się wspomniane już konferencje, podczas których omawiano założenia projektu zmian w kodeksie karnym, ale także w procedurze i w kodeksie karnym wykonawczym.

Oba zespoły chyba jednak nie pracowały całkiem od siebie odseparowane. Znaliście się przecież.

Pracujący w obu zespołach oczywiście się spotykali. Często pracowaliśmy na tych samych uczelniach czy w tych samych instytucjach. Mieliśmy informacje o pracach rządowego zespołu np. od prof. Kazimierza Buchały, który był kierownikiem Katedry Prawa Karnego i tym samym moim szefem. Do wymiany poglądów na temat opracowywanych projektów legislacyjnych było wiele różnych okazji. Poza wspomnianymi już konferencjami jesienią 1981 roku odbyła się w Krakowie duża konferencja, podczas której zaprezentowaliśmy projekty dotyczące zmian w prawie karnym. Także prof. Andrejew wiedział, że ja pracuję w naszym zespole i jaką rolę tam odgrywam.

Nie był to więc przypadek, że zaprosił pana na tę konferencję w Popowie. Pojechał pan tam?

Nie pojechałem, ponieważ konferencja planowana była na początek stycznia, a wcześniej wprowadzony został stan wojenny. No i sen o reformach się skończył. A jak wiemy, w dziedzinie prawa karnego sprawy poszły wręcz w przeciwnym kierunku. Zamiast proponowanej przez nas, ale także przez komisję rządową, istotnej liberalizacji prawa, doszło do jego znacznego zaostrzenia.

Nastąpiło to trochę później, a tymczasem co stało się z tymi projektami?

Trafiły do szuflad. Stan wojenny oznaczał wstrzymanie wszystkich prac prowadzonych w ramach zespołu rządowego czy pod patronatem „Solidarności”. W Ministerstwie Sprawiedliwości także nie było już klimatu do prac nad reformą prawa karnego. Konferencja, na którą byłem zaproszony, oczywiście też się nie odbyła. Ciekawa historia – ponieważ, jak wspominałem, w pracach rządowej komisji uczestniczył profesor Kazimierz Buchała, z którym miałem dobry kontakt, ustaliliśmy więc, że nasze prace w jakiejś formie należy prowadzić nadal. Zaczęliśmy w naszej katedrze pracować nad projektem nowego kodeksu karnego, wykorzystując do tego obydwa projekty.

Jak się domyślam, z trochę mniejszą nadzieją na rychłe jego wdrożenie do praktyki.

Nowa sytuacja osłabiła, jeśli nie załamała naszych nadziei. Ale uznaliśmy, że warto pracować nad rozwiązaniami, które kiedyś mogą się przydać. Traktowaliśmy to jako swoiste zadanie naukowe. Pracownicy naszej katedry przygotowywali różne analizy i propozycje konkretnych rozwiązań, potem dyskutowaliśmy o tym w katedrze, organizowaliśmy seminaria. Później bardzo się to przydało. Szczególnie gdy w 1987 roku przy

Ministerstwie Sprawiedliwości powstała komisja do spraw reformy prawa karnego, mogła korzystać z tych opracowań. Co ważne, nasz szef profesor Buchała został jej przewodniczącym.

Czy komisja sięgnęła po te projekty?

Profesor Buchała miał te wszystkie opracowania i próbował nad nimi pracować, ale nie bardzo to wychodziło. Był jednak dość duży opór materii, tamta władza jeszcze chyba nie dojrzała do poważniejszych zmian w tej dziedzinie. A już szczególnie nie było atmosfery do liberalizacji zasad odpowiedzialności karnej, co przecież zakładały nasze projekty.

Przypomnijmy więc, że był to rok 1987, czyli zaledwie dwa lata po radykalnym zaostrzeniu przepisów karnych w Polsce.

W 1985 roku tak zwane ustawy majowe bardzo zaostryły prawo.

Po pracach zmierzających w zupełnie inną stronę to był szok.

No cóż, jak już mówiliśmy, zarówno nasz projekt przygotowany w Centrum Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności”, jak i rządowy zmierzały do dość istotnej liberalizacji prawa karnego. Ale dla porządku trzeba powiedzieć, że pierwszym szokiem był dekret o stanie wojennym, który zawierał bardzo surowe przepisy karne, włącznie z karą śmierci za szereg dodatkowych czynów i z trybem doraźnym. Gdy po pewnym czasie stan wojenny został zniesiony, ówczesnej władzy najwyraźniej brakowało tego drakońskiego prawa, bo wiele z przepisów zaostrzających odpowiedzialność karną wprowadzono do kodeksu karnego. Były to nowelizacje dokonywane w latach 1983–84, a więc znacznie wcześniej przed wspomnianymi ustawami majowymi z 1985 roku. Władza była wtedy zdecydowana na utrzymanie ostrej polityki karnej. Przykładowo przypomnę słynny artykuł 282a, który wprowadzał odpowiedzialność karną za jakąkolwiek formę protestu. Pamię-

tam, że z tego przepisu odpowiadały osoby, które podczas pracy nosiły na ramieniu biało-czerwone opaski – ówczesnej władzy kojarzyło się to z oporem. Wyjątkowym osiągnięciem była ustawa z 10 maja 1985 roku o szczególnej odpowiedzialności karnej – fatalna ustawa. Prace nad nią budziły wielki niepokój w środowisku karnistów. Środowisko spotkało się, został przygotowany list do parlamentarzystów, w którym ostrzegaliśmy przed niebezpieczeństwami, jakie niosą tego typu regulacje.

Czy list ten trafił do posłów?

Tak, został im dostarczony. Jako ciekawostkę podam fakt, że Marszałek Sejmu zarządził wewnętrzne dochodzenie, które miało wyjaśnić, w jaki sposób dokument ten trafił do posłów.

Były w Sejmie jakieś skutki tego wystąpienia?

Żadnej dyskusji na ten temat nie było, ale wiemy, że posłowie znali treść naszego listu. Jedyłą osobą, która podczas debaty próbowała podnosić argumenty z naszego wystąpienia, była prof. Genowefa Rejman – wtedy posłanka Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Ale oczywiście bez żadnego efektu. Poza tym zostaliśmy „zaszczyceni” wystąpieniem Czesława Kiszczaka, który powiedział o pięknoduchach nierozumiejących realiów życia.

Czy wobec autorów listu były jakieś represje?

Nie, a w każdym razie nic o tym nie wiem. Chyba że za taką restrykcję uznać zablokowanie na kilka lat mojej profesury, mimo że wszystkie potrzebne do tego kryteria już spełniałem. Ale sądzę, że był to raczej skutek „całokszału” mojej aktywności niż tego konkretnego wystąpienia.

Ustawa została uchwalona przez Sejm?

Tak, stało się to w dniu 10 maja 1985 roku, miała charakter czasowy – z okresem obowiązywania do końca 1988 roku.

Pamiętam ówczesną argumentację władz, że te przepisy mają pomóc w zaprowadzeniu w kraju porządku, w walce z przestępczością, która miała wtedy rzekomo niebywale się rozwinąć.

Rzeczywiście, tak to było uzasadniane, z tym że w surowej represji widziano też środek na poprawienie sytuacji rynkowej. Zdaniem władzy mizéria gospodarcza była spowodowana spekulacją i nadużyciami gospodarczymi, a nie trwaniem z przyczyn ideologicznych przy gospodarce centralnie sterowanej. „Porządek” zaprowadzano bardzo ostrymi środkami. Pamiętam sprawę pewnego kierowcy, który woził tłuczeń na budowę drogi i jedną przyczepę wysypał na jakiejś prywatnej posesji, za co oczywiście zainkasował odpowiednią kwotę. Dostał minimalną karę, jaką mógł za ten czyn wymierzyć sąd, czyli trzy lata bezwzględnego pozbawienia wolności i konfiskatę majątku, którym w tym przypadku było sześćohektarowe gospodarstwo.

Nadzwyczajna surowość była charakterystyczna dla tej ustawy, ale ona jest typowa u zwolenników „ładu i porządku” przecież nie tylko w tamtych czasach; podnosi się dolne progi kar i je usztywnia, by sędziowie w konkretnej sytuacji nie mogli obniżyć sankcji.

Rzeczywiście była to jedna z cech tej ustawy. Mimo że sędziowie w tamtej epoce byli różni i różnie się o nich mówiło, to jednak władza nie miała do nich zaufania. Dlatego jeśli chciano zaostrzyć politykę karną, podnoszono dolne granice kar i wprowadzano zakaz ich warunkowego zawieszania. Chodziło o to, by za jak najwięcej czynów wymierzać kary bezwzględnego pozbawienia wolności.

Jakie były efekty takiej polityki i tej regulacji? Czy zmniejszyła się skala przestępczości?

Nie było żadnych specjalnych efektów, bo ani wcześniej nie mieliśmy w Polsce do czynienia z jakąś szczególnie rozpasaną

przestępczością, ani po wejściu tych przepisów w życie ona nie zanikła.

Za to zapełniły się, a może należy powiedzieć – przepełniły się zakłady karne. To zdaje się właśnie wtedy pobity został rekord Polski pod tym względem.

Jeśli dobrze pamiętam, w 1986 roku mieliśmy wskaźnik około 330 osób w zakładach karnych na 100 tysięcy mieszkańców – czyli bardzo wysoki. W liczbach bezwzględnych – blisko 130 tysięcy uwięzionych.

Powiedzmy od razu, że w ówczesnych więzieniach panowały straszne warunki. Wraz z zaostrzeniem polityki karnej nie wybudowano dodatkowych zakładów karnych, lecz dokonano zagęszczenia w istniejących placówkach – często starych, bez nowoczesnych instalacji. Profesor Ewa Łętowska, która niedługo potem została rzecznikiem praw obywatelskich, opisuje w swoich wspomnieniach to, co widziała podczas wizytacji zakładów karnych. Straszny tłok, fatalne warunki higieniczne.

To fakt, upychano ludzi w straszliwych warunkach. Nie stosowano się do żadnych kryteriów obowiązujących w tym zakresie w cywilizowanym świecie. Istniała wprawdzie norma trzech metrów kwadratowych na osobę, ale z reguły jej nie przestrzegano.

Profesor Łętowska twierdzi, że normę tę liczono w metrach sześciennych – w starych budynkach więziennych, a takie przecież dominowały, o bardzo wysokich pomieszczeniach, stawiano trzypiętrowe prycze, w efekcie czego na jednego skazanego wypadało często niewiele więcej niż metr kwadratowy.

Tak było wtedy, ale wcześniej też. Stąd nasze dążenia zapoczątkowane w 1980 roku, by choć trochę zliberalizować politykę karłą i z przestępczością walczyć także innymi metodami, nie tylko prymitywnym zamykaniem ludzi w odosobnieniu.

Czy wtedy, gdy w 1987 roku rząd zdecydował o powołaniu komisji do spraw reformy prawa karnego, była już atmosfera do zmian, o których pan mówi?

W środowisku prawniczym było zrozumienie dla takiej potrzeby. Ale profesor Buchała, który przewodniczył komisji rządowej, nie bardzo mógł się przebić z tego typu argumentami. Obowiązywała wtedy raczej dyrektywa nie w kierunku liberalizacji, lecz bardziej utrwalenia tego, co właśnie realizowano. Celem ówczesnej władzy było raczej poprawienie istniejącego prawa, a nie jego poważna reforma. Ustawy z 1985 roku były na niskim poziomie legislacyjnym, a więc od komisji oczekiwano wprowadzenia lepszej techniki prawniczej. Myślę też, że było to działanie polityczne – by stwarzać wrażenie, że coś się robi, że „jesteśmy za, a nawet przeciw”.

Wydawało się logiczne, że skoro ustawy majowe obowiązywały tylko do końca 1988 roku, to zostanie podjęta praca nad czymś, co je zastąpi.

To akurat nie było konieczne, gdyż po ustaniu ważności tych regulacji zostawał kodeks karny z 1969 roku, który też przecież był bardzo surowy. Nie zapominajmy, że prace podjęte w 1980 roku po stronie solidarnościowej i rządowej miały zliberalizować ten właśnie kodeks, a o tym, co wprowadzono kilka lat później, nawet nie myśleliśmy. W każdym razie do 1989 roku żadnych istotnych zmian w prawie karnym nie wprowadzono.

Miał jednak w tym czasie miejsce istotny fakt – w 1988 roku zaprzestano w Polsce wykonywać wyroki śmierci.

Trochę inaczej – w roku tym wykonano ostatni taki wyrok. Zniesienie kary śmierci nastąpiło dopiero wraz z wejściem w życie nowego kodeksu karnego w 1998 roku, a trzy lata wcześniej, w 1995 roku wprowadzono oficjalnie moratorium na jej wykonywanie. Ale faktycznie od 1989 roku nie wykonywano już wyroków śmierci, co można wiązać z zaczynającymi

się wtedy przemianami demokratycznymi. Ale wyroki takie zapadały jeszcze przez jakiś czas, w wyniku amnestii z grudnia 1989 roku zostały zamienione na kary 25 lat pozbawienia wolności, jako że dożywocia w tamtym kodeksie nie było. Teraz mamy tego konsekwencje, bo zakłady karne zaczyna opuszczać grupa szczególnie brutalnych morderców, którzy według dzisiejszego prawa powinni do końca życia przebywać w izolacji. Cóż, takie decyzje wtedy zapadły, a prawo nie może działać wstecz.

Wróćmy do 1989 roku, kiedy wczesną wiosną rozpoczął się Okragły Stół. Czy podczas jego obrad pojawiły się sprawy związane z reformą prawa?

Oczywiście, ta problematyka była przewidziana, zaplanowano tzw. podstolik prawny. Byłem jednym z jego uczestników. Zajmowaliśmy się wieloma zagadnieniami, które miały być zmienione, poczynając oczywiście od podstawowych, o znaczeniu konstytucyjnym. Naszym największym sukcesem było chyba wtedy porozumienie dotyczące sądów i sędziów. Chodziło nam o doprowadzenie do niezależności sądów i prawdziwej niezawisłości sędziów. Tu potrzebna jest pewna dygresja. Otóż w Polsce mieliśmy przedziwną sytuację, ponieważ według konstytucji z 1952 roku sędziowie byli wybierani na pewien okres. W praktyce tego nie przestrzegano, z wyjątkiem Sądu Najwyższego. Sędziowie wszystkich niższych sądów byli powoływani na czas do osiągnięcia wieku emerytalnego, z tymi trochę osłabionymi gwarancjami, że musieli „dawać rękojmię”. Inaczej było w Sądzie Najwyższym, gdzie sędziowie byli powoływani na pięcioletnie kadencje. To czyniło z tego sądu najbardziej zależny organ sądowy. Bo przecież każdemu sędziemu zależało na utrzymaniu osiągniętego statusu, by być powołanym na następną kadencję. A jeśli był „niegrzeczny”, to mógł nie być powołany. I właśnie dlatego pod adresem sędziów Sądu Najwyższego kierowane były największe pretensje.

Jak rozumiem, było to też przyczyną szczególnego potraktowania tego problemu przy podstoliku prawnym?

Było przekonanie, że w tej dziedzinie muszą być wprowadzone daleko idące zmiany. I przy Okrągłym Stole zostało to uzgodnione. W wyniku tych ustaleń Sejm szybko uchwalił ustawę skracającą kadencję sędziów Sądu Najwyższego do grudnia 1989 roku. Wtedy można było cały Sąd Najwyższy wybrać w nowym składzie, już bezterminowo.

Przy Okrągłym Stole zapadły też decyzje dotyczące Krajowej Rady Sądownictwa.

To było drugie z kluczowych rozwiązań dotyczących wymiaru sprawiedliwości, które wtedy uzgodniono. Ustaliliśmy, że powstanie organ, który będzie stać na straży niezależności sądów. Zapadła też decyzja, że istnienie tego organu zostanie zapisane w Konstytucji. Nastąpiło to w maju 1989 roku, gdy do Konstytucji wprowadzono taką zmianę.

Zrozumiałe, że w miejscu, jakim był Okrągły Stół, mogły zapaść raczej ustalenia o większej wadze, czyli na przykład o powołaniu jakiegoś nowego organu albo stworzeniu nowej instytucji prawnej. Raczej trudno przy „podstoliku” pisać nowy kodeks. Czy zapadły kierunkowe ustalenia co do zmian w prawie karnym?

Od razu muszę powiedzieć, że w tych sprawach nie osiągnięto żadnego porozumienia. Niemniej były one dyskutowane. Domagaliśmy się pewnych zmian przy Okrągłym Stole, jak na przykład likwidacji ośrodków przystosowania społecznego.

O co chodziło?

No właśnie, w kodeksie karnym z 1969 roku istniała instytucja umożliwiająca zamknięcie recydywisty po odbyciu kary jeszcze na jakiś czas, na przykład na pięć lat, w takim miejscu, gdzie on w praktyce nadal był pozbawiony wolności. Żądaliśmy likwidacji tej instytucji. Podobnie zabiegaliśmy o usunięcie z kodeksu „chuligańskiego

charakteru czynu”. To instytucja o komunistycznej proveniencji, nieprecyzyjna i niedookreślona, dająca duże możliwości nadinterpretacji. Proponowaliśmy również szereg zmian związanych z procedurą karną, w tym przeniesienie do sądów uprawnienia do decydowania o tymczasowym aresztowaniu, a także by był określony maksymalny czas stosowania tego środka. Byliśmy też za wprowadzeniem sądowej kontroli nad postępowaniem przygotowawczym.

I nic z tego nie udało się przeforsować?

Niestety, nie osiągnęliśmy żadnego porozumienia. Po stronie rządowej był zdecydowany opór. Przy podstoliku prawnym mieliśmy wyjątkowo betonowych partnerów. Były różne osoby, ale ton tej ekipie nadawali dwaj panowie: Lucjan Czubiński, ówczesny wiceminister spraw wewnętrznych, a wcześniej prokurator generalny, oraz Hipolit Starszak, funkcjonariusz MSW, a potem przez wiele lat zastępca prokuratora generalnego. Rozmowy z nimi, a już szczególnie o propozycjach zmian w prawie karnym, były niezwykle trudne. Wynikiem naszych prac był więc dość długi protokół rozbieżności. Ale, jak już wspominałem, olbrzymim naszym osiągnięciem były ustalenia dotyczące sądów – dlatego że one wprowadzały bardzo istotne zmiany do wymiaru sprawiedliwości i wchodziły na stałe do systemu ustrojowego.

Na tym prace reformatorskie się zatrzymały – kiedy zostały podjęte na nowo?

Po kilku miesiącach. Gdy po wyborach czerwcowych w 1989 roku utworzony został rząd Tadeusza Mazowieckiego, zadzwonił do mnie wiceminister sprawiedliwości Adam Strzembosz z propozycją wejścia do komisji do spraw reformy prawa karnego. Zapowiedział też, że jest zamiar stworzenia tej komisji na nowo i ożywienia jej prac. Zaproponowałem, by Kazimierz Buchała pozostał jej przewodniczącym, co zostało zaakceptowane. Ja natomiast zostałem powołany przez ministra sprawiedliwości, którym był wtedy Aleksander Bentkowski, na jego zastępcę. W skład komi-

sji weszło parę osób z poprzedniej, ale powołano też kilka nowych. No i na pierwsze posiedzenie tego zespołu przyszliśmy z profesorem Buchalą z gotowym projektem, bo część ogólną kodeksu karnego już mieliśmy przygotowaną. Oczywiście był potem przerabiany, ale jego główny trzon jest w obowiązującym obecnie kodeksie.

W jakiej atmosferze toczyły się te prace? Bo był to jeszcze przejściowy okres pomiędzy PRL a demokratyczną Polską. Czy była w zespole zgoda na postulowane wcześniej reformy?

Komisja pracowała już w zupełnie zmienionych warunkach. Dominowała w niej akceptacja dla zamiaru poważnej reformy prawa karnego, chociaż stawiane nam później zarzuty, że dżirsko przystąpiliśmy do jego liberalizacji, nie były uzasadnione. Nie chodziło nam o to, by liberalizować prawo, a w każdym razie nie tylko o to. Owszem chcieliśmy, by prawo nie było tak skrajnie surowe, nastawione przede wszystkim na zamykanie ludzi w więzieniach, i by system karania był bardziej racjonalny. Przecież nawet obecnie obowiązujący kodeks karny w stosunku do standardów europejskich uchodzi za surowy.

Nadal surowy, ale bardziej liberalny w stosunku do kodeksu z 1969 roku, nie mówiąc już o tych ustawach dodanych do niego w latach 80.

Oczywiście chodziło nam o zmniejszenie skali represyjności tamtego prawa, ponieważ uważaliśmy je za nadmiernie surowe. Ale gdy pracowaliśmy nad nowym kodeksem, to ugrupowania polityczne, które później znalazły się w PiS, bardzo to krytykowały, właśnie zarzucając nowym przepisom nadmierną łagodność. Trzeba pamiętać, że właśnie te siły dążyły do wstrzymania wejścia w życie nowego kodeksu, co im się nie udało, ale kilkumiesięczne opóźnienie – owszem spowodowali. Uchwalony w dniu 6 czerwca 1997 roku kodeks miał obowiązywać od początku następnego roku, a na skutek tych zabiegów wszedł w życie dopiero od 1 września 1998 roku. Trzeba jasno powie-

dzieć, że to właśnie Jarosław Kaczyński wraz ze swoimi zwolennikami zablokowali wejście w życie nowego kodeksu od 1 stycznia 1998 roku. To ważne dla zrozumienia dalszych sporów toczących się wokół tej regulacji. Ta grupa dążyła do odrzucenia wprowadzanych zmian właśnie z pozycji, że jest to zbyt liberalne prawo. A porównywano je do norm obowiązujących w kodeksie z okresu komunistycznego, które my chcieliśmy odrzucić.

Przypomnijmy w tym miejscu, że współpracował pan z Jarosławem Kaczyńskim przy podstoliku prawnym Okrągłego Stołu. Czy wtedy też kwestionował on kierunek zmian proponowany przez stronę solidarnościową?

Rzeczywiście pracowaliśmy razem w tym zespole i razem zwalczaliśmy „chuligański charakter czynu” w kodeksie karnym. A później jako premier zaakceptował on ponowne wprowadzenie chuligańskiego charakteru czynu do kodeksu.

Ciekawa przemiana zaszła w tym człowieku. Czy autentyczna? Chciałbym jednak spytać, czy wtedy, gdy w pierwszej połowie lat 90. pracowaliście nad reformą prawa karnego, byli w waszym gronie i wokół niego tylko zwolennicy nowych rozwiązań, którzy chcieli wprowadzenia takiego prodemokratycznego kodeksu?

W naszym zespole wspólna była idea, by wzmocnić funkcje gwarancyjne w prawie. Nie oznaczało to, że opowiadaliśmy się za łagodnym prawem karnym, lecz za takim, które jest jasne – czyli ustawa musi określać, co jest przestępstwem.

W pracach podstolika prawnego przy Okrągłym Stole wspólnie z Jarosławem Kaczyńskim zabiegaliśmy m.in. o usunięcie z kodeksu „chuligańskiego charakteru czynu”, ponieważ była to instytucja o stalinowskiej proveniencji, nieprecyzyjna i niedookreślona, dająca duże możliwości nadinterpretacji. Mam mu za złe, że gdy był premierem, zaakceptował przywrócenie tego przepisu do kodeksu.

Ale jednocześnie, jeśli dobrze rozumiem prawo charakterystyczne dla państw demokratycznych, ma ono dawać sędziom dość dużą swobodę w ocenie konkretnego przypadku, konkretnej sytuacji. Przecież w poprawianym wtedy prawie z okresu PRL było wiele sztywnych sankcji, typu „nie mniej niż...”. A dolna granica była ustawiona często dość wysoko, bez możliwości obniżenia kary, nawet gdy istniały okoliczności łagodzące.

Tak, ale w prawie karnym trzeba odróżnić dwie rzeczy. Pierwsza to podstawa karania – to znaczy za co jest przewidziana kara. To musi być bardzo precyzyjne. Obywatel musi dokładnie wiedzieć, czego nie wolno robić. A czym innym jest problem wymiaru kary. Gdy już ustaliliśmy, że ktoś zrobił coś złego, to następnie trzeba określić karę odpowiednią do tego czynu. I tu elastyczność dla sądu jest niezwykle ważna – dlatego że opis ustawowy, czego nie wolno robić, jest zawsze abstrakcyjny, daleki od konkretności, z którym sędzia ma do czynienia. On stwierdza: ten człowiek popełnił to, czego ów abstrakcyjny zakaz zabrania. Ale przy wymiarze kary sędzia musi wziąć pod uwagę indywidualne cechy tego człowieka i okoliczności tego zdarzenia. I tu musi mieć swobodę. Prawodawca musi więc niejako zablokować sędziego od góry – w takim sensie, że on nie może przekroczyć pewnej granicy, czyli ukarać za surowo; nie może stwierdzić, że to jest przypadek większej wagi i wymierzyć wyższą karę, niż przewiduje ustawa. Tu ustawa musi być bardzo jednoznaczna. Ale dół tych widełek powinien być stosunkowo elastyczny. To inna filozofia od tej, która przyświecała twórcom kodeksu z 1969 roku.

Była zgoda na taką filozofię przy pracy nad nowym kodeksem?

Większość z członków naszej komisji była zdecydowanie za. Ale całkiem jednomyślni nie byliśmy, o wiele kwestii się spieraliśmy. Spory przybierały nieraz bardzo zasadniczy charakter. Muszę zresztą przyznać, że w poglądach na wiele spraw różniliśmy się także z profesorem Buchałą. Raz jego zdanie wygrywało,

kiedy indziej moje. To, co powstało, jest wynikiem pracy całej komisji i kompromisów wypracowywanych w jej łonie.

Jeśli jednak już w trakcie prac projekt był krytykowany i nawet miały miejsce zabiegi w celu zablokowania jego wejścia w życie, a potem krytyce był poddawany nowy kodeks, to w stosunku do prac komisji musiała istnieć opozycja. Mówiliśmy już, że istniała takowa w sferze politycznej, ale czy występowała także w środowisku prawniczym?

Owszem, odbieraliśmy takie sygnały. Ale trzeba pamiętać, że pracowaliśmy nad projektem dość długo – zaczęliśmy już w 1989 roku, a trafił on do Sejmu w 1995 roku. I tam oczywiście pojawiła się krytyka.

Wcześniej projekt musiał być jednak zaakceptowany przez ministra sprawiedliwości i rząd. Eksperti przygotowują projekt, ale potem on trafia w ręce polityków.

Minister, którym był wtedy Włodzimierz Cimoszewicz, zaakceptował ten projekt i skierował go na posiedzenie Rady Ministrów. Także rząd go przyjął i skierował do Sejmu. A tam już ujawnili się z całą mocą przeciwnicy proponowanych przez nas zmian. Na etapie prac w komisji ten opór nie był jeszcze tak bardzo widoczny. Publikowaliśmy efekty naszych prac, były publicznie dyskutowane, pisała o tym prasa. Były głosy poparcia, były przeciw, ale zmasowanej krytyki nie odbieraliśmy. W Sejmie jednak część posłów przystąpiła do frontального ataku. Cóż, już wtedy wielu polityków zdawało sobie sprawę, że prawo karne to znakomity instrument do zdobywania popularności.

Szczególnie, a może nawet tylko prawo karne. Bo jakoś nie słyszy się polityków walczących z wypiekami na twarzy o zmiany w prawie cywilnym czy w kodeksie handlowym.

Bo na prawie karnym każdy się zna. Tak jak na medycynie. Komisje pracujące nad innymi kodeksami miały święty spokój,

ale okazji do wykazania się niezłomnością w dyskusji nad zmianami w prawie karnym politycy nie przepuścili. Przecież każdy z nich wie, jak zwalczać przestępczość. A już szczególnie wtedy, gdy zdarzy się jakiś spektakularny przypadek, jakieś głośne morderstwo albo napad. Wtedy wychodzi polityk i mówi: ja wiem, jak z tym walczyć. Należy zaostrzyć prawo. No i jeżeli ma instrumenty, które mogą mu umożliwić urzeczywistnienie tego zamiaru, wprowadza szybką nowelizację do kodeksu. Właśnie na hasłach zaostrzania kar i walki z przestępczością wyrosła partia Prawo i Sprawiedliwość. Podczas prac sejmowych nad naszym projektem kodeksu karnego mieliśmy preludium tej akcji. A konsekwencje tego mamy do dzisiaj.

Jak rozumiem, w Sejmie była większość do uchwalenia tej ustawy.

Tak, mimo burzliwej dyskusji, w Sejmie była większość, która w dniu 6 czerwca 1997 roku uchwaliła nowy kodeks. Niestety z pewnymi poprawkami, moim zdaniem trochę psującymi kodeks.

No właśnie, przy różnych regulacjach tak bywa, że eksperci przygotowują solidny projekt, który potem w swoje ręce biorą posłowie i senatorowie, no i z parlamentu wychodzi często coś innego, niż proponowali fachowcy. Jak było w tym przypadku? Dużo było poselskich „wrzutek”?

Owszem, trochę ich było. Można nawet wymienić konkretne nazwiska parlamentarzystów, którzy trochę w tej pracy legislacyjnej zamieszali. W sumie szkody nie były jednak duże, a najważniejsze, że ustawa została uchwalona. Co prawda jej przeciwnicy jeszcze nie złożyli broni, bo jak już wspominałem, podjęto próbę przesunięcia wejścia kodeksu w życie. Skuteczną, ponieważ Sejm uchwalił specjalną ustawę wydłużającą o osiem miesięcy *vacatio legis* dla kodeksu. Ten projekt był zwalczany przez grupę ludzi, którzy postanowili wykorzystać prawo karne do budowy swo-

jej pozycji politycznej, głosząc hasła o konieczności zaostrzenia prawa dla walki z przestępczością.

Wtedy akurat, w przeciwieństwie do swojej późniejszej aktywności w tej dziedzinie, nawet mieli podstawy do uprawiania takiej retoryki, bo przestępczość w latach 90. rzeczywiście rosła.

Z punktu widzenia prac nad reformą prawa karnego faktycznie nie był to sprzyjający okres. Jeśli popatrzymy na statystyki dotyczące przestępczości, zobaczymy, że w pierwszych latach po przełomie 1989 roku nastąpił w tej dziedzinie wręcz skok. Pomiędzy rokiem 1989 i 1990 miał miejsce około 60-procentowy wzrost liczby przestępstw. Ale to daje się wytłumaczyć, bo zawsze przy tego typu przemianach następuje pewne rozprężenie. Słabiej działała policja, zauważmy też, że nie bez znaczenia musiała być prowadzona wtedy weryfikacja kadr w tej formacji, gorzej funkcjonował cały aparat ścigania i wymiaru sprawiedliwości – ale też pojawiły się lepsze warunki do popełniania przestępstw.

Swoją rolę odegrał też w tej dziedzinie wolny rynek. W sklepach i na bazarach pojawiły się towary, których wcześniej nie widzieliśmy, zaczęto z zagranicy sprowadzać samochody. Było co kraść.

Zmiany polityczne doprowadziły do otwarcia granic, co skutkowało większym przemieszczaniem się ludzi, mieliśmy więc dość dużo „gościnnych występów” przestępców z zagranicy. Łatwiejszy stał się dostęp do broni. To wszystko spowodowało, że przestępczość w tamtym okresie gwałtownie wzrosła. W każdym razie wzrosła przestępczość ujawniana. Pamiętajcie bowiem trzeba, że w okresie PRL zaufanie do aparatu ścigania było mierne i wiele popełnionych przestępstw nie było zgłaszanych albo zgłoszeń nie przyjmowano pod byle pretekstem, co znakomicie obniżało statystyczny poziom przestępczości.

W niełatwym otoczeniu pracowaliście. Na ulicach dochodziło do walk gangów, bomby wybuchały pod samochodami, bandyci nie bali się nawet strzelać do policjantów. A tu jakaś grupa prawników proponuje łagodzenie prawa karnego.

To wszystko prawda, tylko pamiętajmy, że w tym czasie wciąż obowiązywał surowy kodeks z 1969 roku. Przestępcy jakoś nie bali się zawartych w nim ostrych kar. Był to najlepszy dowód, że sama wysokość kar za przestępstwa nie powstrzymuje ludzi przed ich popełnianiem. Dzisiaj mamy znacznie łagodniejszy kodeks, a przestępczość jest mniejsza. Ale na podstawie tego kodeksu sąd też może surowo ukarać, jeśli jest to uzasadnione. Przekonywaliśmy więc wtedy, że problem nie na tym polega i nie tylko w surowości prawa trzeba szukać sposobów na zwalczanie przestępczości.

Paradoksalnie niedługo po wejściu w życie nowego kodeksu, tak krytykowanego przez niektóre środowiska za nadmierną łagodność, przestępczość w Polsce zaczęła się zmniejszać.

Spadek liczby przestępstw rozpoczął się około 2000 roku. Oczywiście były w tym procesie wahania, pewien wzrost nastąpił w 2003 roku, potem był dalszy trend spadkowy, następnie znowu niewielki wzrost.

Autorzy nowego kodeksu mogliby więc powiedzieć: proszę, oto już są pozytywne skutki wprowadzonych przez nas zmian.

Rzeczywiście można tak powiedzieć. Ale wolalbym nie używać takiej argumentacji, ponieważ wiem, o jak złożone zjawiska chodzi. Kryminolodzy potrafią wymieniść dość długą listę czynników, które powodują wzrost lub spadek skali przestępczości. I na czele tej listy wcale nie umieszczają zmian legislacyjnych.

Ów rok 2000 jest pamiętny nie tylko dlatego, że wtedy zaczęła się spadek przestępczości.

Ważnym wydarzeniem tego roku było objęcie stanowiska ministra sprawiedliwości przez Lecha Kaczyńskiego.